

<p>ZŁOTY RÓG ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY</p>		<p>REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. MAZOWIECKA N°5 TEL. N° 226-83.</p>
--	---	---

N^o

WARSZAWA
 DNIA 4 LUTEGO 1912 R.

7



K. Lasocki.

(T. Z. S. P.)

Między lasami.

ELIZA ORZESZKOWA.

2)

Z DRÓG I LOSÓW MYŚLI POLSKIEJ.

Z teki pośmiertnej.

I (Zastrzega się wszelkie prawa przedruku i przekładu).

Narody więc istnieją z rozkazu natury i historii; istnienie ich jest jednym z najkaptalniejszych praw, rządzących życiem ludzkości. Przywiązanie do istnienia swego, obstawanie przy jego trwałości, usiłowanie podnoszenia go na coraz wyższy szczebel fizycznego i moralnego bytu, jest dla narodów koniecznością naturalną, a w miarę rozwijania się ich intelektu, staje się obowiązkiem i cnotą. Oto podstawa i źródło patriotyzmu.

Czem jest patriotyzm w czystości i prawdziwości swej pojęty?

Rzecz to ściśle związana z naturą człowieka, że umie on wszystkie uczucia i wszystkie idee obniżyć, znieważać, zaprawić mętami i jadem. Niema nic w krainie ideałów, na czemby człowiek nie wycisnął piętna swojej ograniczoności albo swojej złości. Religja posiada swoje okrutne inkwizycje, obłudne dewocje, miłość mężczyzny i kobie-

ty swoje zaułkowe i salonowe lupanary, rodzina swoje jaskinie sobkostwa, sztuka swoją pornografję etc. etc.

Jest to przerabianie gwiazd na grudy błota; ludzkość posiada tę umiejętność w stopniu bardzo wysokim i tkwi w tem jeden z najstraszniejszych jej dramatów.

Jednak śmiesznym byłby człowiek, któryby patrząc na śnieg zmieszany z piaskiem, mówił: śnieg z natury swej brudnym. Nie. Płaty śniegu, rytmem harmonijnym, posiadały białość niepokalaną a brudnemi uczyniło je zetknięcie z ziemią. Wielkim i promiennym powstaje w umyśle człowieka ideał; w lichą i brudną formę wlewają go jego namiętności i jego — głupstwa.

Patrjotyzm podzielił los wszystkich wysokich pojęć i uczuć ludzkich: idealny obrys jego ręce chciwe, pyszne, okrutne, wypełniły chciwością, pychą, okrucieństwem. Pomimo to, serca czyste do zatrutego puharu przybiegają i odłączając truciznę od wina, poją się jego mocą i ogniem.

Patrjotyzm, który naucza narody wzajemnej dla siebie nienawiści i pogardy, jest patrjotyzmem złym. Patrjotyzm, na który składają się pierwiastki pychy państwowej, chciwości handlowej, poniewierania dostojnością innych, szukania korzyści własnej z krzywdą innych, jest przerabianiem gwiazdy w grudę błota zmieszanego z krwią. Patrjotyzm, którego objawami są podboje wojenne, oszustwa polityczne, uwielbienie samego siebie, a plwanie na innych—nie tylko zwalcza miłość wszelką, lecz jest zaprzeczeniem i sprzeciwieniem samego pojęcia miłości, jest bluźnierstwem przeciw jej imieniu i pojęciu.

Wśród zawikłanych dziś stosunków międzynarodowych, wśród zatrutej atmosfery, którą oddycha ludzkość dzisiejsza, nienawiść często przedstawia się światu pod imieniem miłości i przez świat poczytywaną jest za miłość. Lecz omyłka to kapitalna. Nie jest kochaniem ojczyzny nienawidzenie innych narodów, nie jest niemi nawet nienawidzenie jej wrogów. Przeciwnie; im więcej organizacja człowieka podatną jest nienawidzeniu, tem mniejszą być musi zdolność jej do kochania. Tak jak obłudni nabożnisie lub zapamiętali fanatycy fałszują albo udają religję, tak wyznawcy i wykonawcy pomiędzy narodowej nienawiści fałszują albo udają patrjotyzm.

W prawdzie i czystości swej pojęty patrjotyzm jest niczem innym tylko: 1-mo — kochaniem i 2-do — pragnieniem i obowiązkiem służenia przedmiotowi kochanemu.

Co jest w patrjotyzmie przedmiotem kochania? Ziemia i naród.

Przyjrzyjcie się dziecku, które igra na rodzinnej łące, u brzegu rodzimej rzeki.

Zachwycają je niebo i ziemia, trawy, kwiaty, motyle, bieg fal, lot ptaków, gra obłoków, pstroczyna kamieni nadrzecznych. Wszystkie szczegóły obrazu otaczającego to

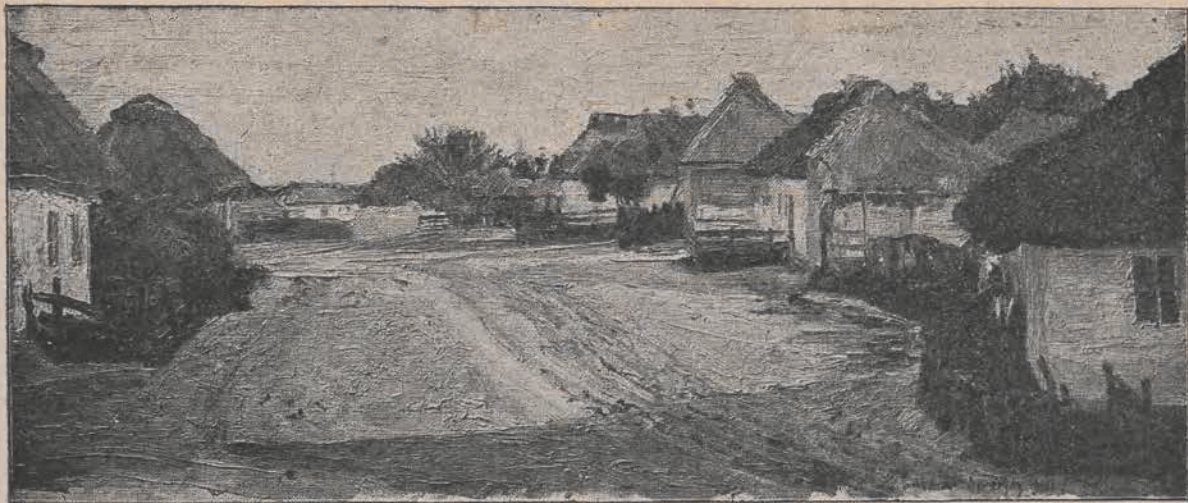
dziecko, posiadają swoiste linje, barwy, światła, swoiste formy bytu rodzinnej jego ziemi. Kochając tę łąkę, dziecko kocha skrawek rodzinnej ziemi, która później, przed młodzieńcami oczyma odkryje dalsze swoje przestrzenie, stając się świadkiem i teatrem burz, walk i czynów południa jego życia, a później jeszcze przynosząc swe ukojenia smętnemu przedwieczczowi i nad późnym wieczorem rozciągając złoto swych zórz zachodnich, srebro swych księżyców.

Dziecko, młodzieniec, mąż i starzec, kochają ziemię rodzinną w swoistej jej postaci, jako obraz piękności, jako scenę swego życia, jako źródło pociech i ukojeń, jako oblicze matki, z której powstała i która była nieraz litościwszą od tej drugiej matki, często okrutnej, której na imię: ludzkość.

Kochanie to sprowadza, jako następstwo, zdolność człowieka do wychodzenia z samego siebie, do myślenia z czułością o czemś, co nie jest nim samym, do uwielbiania czegoś, co jest dobroczynnością, pięknnością, do gotowości pracowania i choćby cierpienia, byleby to coś nie przestawało być dobroczynnym i pięknym, albo stawało się coraz dobroczynniejszym i piękniejszym. Kochanie to czyni człowieka szerszym w myśli i sercu, zdolniejszym do wyczytywania w alfabecie miłości dalszych jego zgłosek.

Bo miłość ziemi, to pierwsza litera w alfabecie patrjotyzmu. Przybywają potem inne, pełne znaczeń rozległych i wysokich, skreślone misternie, rozpowiadające o pracach i czynach, walkach, chwałach, o bólach, prawach, upadkach narodu w przeszłości i terażniejszości. Przynoszą ze sobą te litery rozległe i misterne brzmienia mowy ojczyznej, przez wieki wypracowywanej, wzbogacanej, wysubtelnianej, aż stała się harfą o tysiącach strun dźwięcznych i giętkich, na których poeci prawdy, poeci dobra, poeci piękna wygrali, wyśpiewali, wykształcili narodową wiedzę, narodowe sumienie i narodową sztukę. Przynoszą jeszcze, te dalsze w abecadle patrjotyzmu litery, obraz radości i tryumfów czy mąk, niebezpieczeństw terażniejszego bytu narodu i przynoszą jeszcze obraz gróźb i nadziei, zawieszonych nad jego przyszłością. I krzeszą, rozpalają, rozpłomieniają te litery w sercu człowieka Miłość narodu.

W tej zaś jest wdzięczność dla przeszłości, troska o terażniejszość i przyszłość, chęć odpłacenia się przeszłości, stróżowania nad terażniejszością, przygotowywania czasów przyszłych. Zgromadza się tu w jednym sercu ludzkim mnóstwo pokoleń przeminionych, żyjących i żyć mających, targnięte są w niem wszystkie struny współczucia a w głębi sumienia powstaje surowy i potężny imperatyw obowiązku. Oto wszystko, ale to bardzo wiele. To jedna z bardzo wysokich klas w szkole miłości, jeden z najbliższych celu etapów, przez które człowiek ze ślimaka w skorupie swej zamkniętego, przemienia się w orła. Kochając, współczu-



K. Lasocki.

(Tow. Z. S. P.)

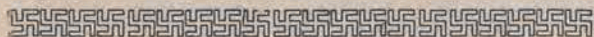
Wieś wołyńska.

jąc, wielbiąc, czyniąc w kręgu zjawisk i zdarzeń swej ojczyzny, człowiek gimnastykuje w sobie zdolności do kochania, współuczucia, wielbienia, czynienia, do wstępowania w krąg jeszcze szerszy, którym jest miłość wszechludzka.

Lecz do kręgu tego wprowadzić go musi miłość ojczyzny. Bo dusza człowieka nie jest akrobatką, zdolną do wykonania skoków z bieguna południowego na północny, lecz biedną podróżnicą, krok za krokiem wspinającą się na stromiznę góry, z której szczytu ogarnąć może niezmierze kosmosu.

* * *

(d. c. n.)



ASEKURACJA.



— Cudzie mój, skarbie nieprzeptacony, promienna światłości mej duszy, długoż jeszcze będę znosił okrutne tortury oczekiwania?

— Cóż ja... ja, pan wie, panie Heniu... jabym... No, mój Boże, niech pan pomówi z mamą!..

— Ach, z mamą!..

Wiadomo. Z mamą sprawa była zdecydowana. Pani Motecka, jako wdowa po wytrawnym buchalterze, wszystko załatwiała z kredką w ręku. Po wyjściu ostatniego ze stołowników, na brudnej serwecie stołu jadalnego nakreśliła ołówkiem przypuszczalny budżet młodego małżeństwa. Najściślej ustaliła pozycje nieodzowne jedna za drugą, biorąc za podstawę rachunku ceny, przy

obecnej drożyznie najniższe i możliwie najoszczędniej wykalkulowane.

Znała się przecież na tem wybornie.

Z dodania niestety strasznie długiego liczb szeregu, wypadło że skromna pensyjka początkującego architekta, jest poprostu w żadnym stosunku do sumy, jakiej wymaga najskromniej choćby urządzone domowe ognisko.

— Widzi pan — tłumaczy pocziwie troskliwa matka — że tu o małżeństwie nawet myśleć na razie nie podobna. Ja, jak pan wie nie, ale to absolutnie nie Wici pomódz nie będę w możności, a pańskie dochody...

— Ależ—przerwie młodzieniec—niechże pani uwierzy, że skoro tylko dostanę pierwszą budowę... że... skoro raz zaprojektuję gmach jakiś wspanialszy... że zarobki architektów... wogóle... pani wie przecież...

— Tak, czekaj tatka latka.

— To może nastąpić lada chwila... za miesiąc... może za tydzień, może jutro...

— W takim razie czekajmy. Zresztą, poco się macie spieszyć. Tacyście oboje młodzi, tacy młodzi!

Henryk się zachnął niecierpliwie i nie mówiąc już nic więcej siedział nadaśany.

Pani Motecka nie chciała zrażać bądź-cobądź nader obiecującego młodzieńca, tedy zdobywając się na ton możliwie najserdeczniejszy, starała się osłodzić gorzką pigułkę.

Miękko położyła rękę na jego rękę i zaczęła przekładać:

— Panie Heniu, niech pan do nas nie ma żalu. Mówię to panu, jako kobieta starsza i doświadczona, jako osoba znająca ży-

cie nie z jednej strony. Od lat sześciu opuszczona, bez żadnej pomocy, utrzymuję siebie i dzieci jedynie własnym przemysłem, własną pracą i energją. Znam doskonale ciężary egzystencji i mogę pana zapewnić, że zezwolenie na wasze małżeństwo w tej chwili byłoby szaleństwem, którego mnie, jako matce, uczynić nie wolno.

— Nie będę taila — ciągnęła dalej — że warunki nasze materialne, są arcykromne. Przy tych kilku stołownikach z Wicią i młodszymi dziećmi mogę jeszcze wyżywić się jako tako, ale gdyby przyszło sprawić cokolwiek, to, utnij głowę, ani myśleć o tem nie podobna. Mówię panu otwarcie jak jest, ażebyś nie posądzał nas o złe dla siebie intencje. Wicia, biedactwo, niema nic literalnie... no, nic... tyle, co na sobie...

— Ależ ja nie wymagam.

— Tra, ta, ta, ta! Nie wymagam!.. Tak nie może być. Musi dziewczyna mieć co na siebie włożyć. Tak, szanowny panie Henryku. Szukałam dla niej zajęcia. Drugi rok, jak skończyła pensję — siedzi w domu. Albo to łatwo znaleźć dla dziewczyny zajęcie? Aż dopiero teraz redaktor... Ten, wie pan, co u nas jada...

— Co?

— Wyrobił Wici engagement do teatru pana Wiechetka.

Henryk porwał się, jakby go przypieczono gorącym żelazem.

— Co?

— Powiada, że dziewczyna posiada przesliczne warunki sceniczne, no i nie jest bez talentu.

— Co?

— Obiecują jej czterdzieści rubli miesięcznie.

Henryk chwycił się za głowę w rozpacz.

— Pani Motecka, pani to mówi?! Pani, rodzona matka, pani, osoba znająca życie nie z jednej strony, pani, kobieta starsza i doświadczona! Czyż pani nie wie na ile niebezpieczeństw narażona jest w teatrze dziewczyna młoda i piękna. Czy pani nie rozumie w jakie trzęsawisko okropne wtrąca, pani to dziecko czyste i niewinne? O, pani Motecka, pani Motecka!

Oburzyła się trochę na te słowa, dbająca o dobro dziecięcia, matka i nie bez pewnego rozdrażnienia przywołała młodzieńca do porządku. Wyjaśniła mu trzeźwo i roz-

sądnie, że ludzie biedni muszą być zawsze przygotowani na tysiące niebezpieczeństw, i właśnie dzięki przygotowaniu temu wychodzą z nich ręką obronną.

— Zresztą, kończyła — sama bym wolała dać dziewczynie jakiś inny sposób zarobkowania, skoro jednak nie można, no... to nie można.

— Dlaczego nie można? — zawołał gwałtownie Henryk, którego myśl o tem, że jego Wicia ubóstwiana miałaby znaleźć się za kulisami prywatnego teatryku, o jakąś ślepą tępą furję przyprowaiała.

— Nie, nie, za nic w świecie do tego nie dopuści.

— Dlaczego nie można? — krzyczał z pasją, wymachując rękami.

— No, to znajdź jej pan jakie porządne zajęcie, kiedyś taki mechanik.

— A znajdzie, znajdzie.

Wybiegł.

Pani Motecka posłała za nim pogardliwe wzruszenie ramion.

— Także opiekun!

Na drugi dzień rano do mieszkania wdowy wpadł Henryk zadyszany, zaczerwieniony, rozpromieniony.

— Mam miejsce dla panny Wici.

Nie posiadał się z radości.

— Panno Wiciu! — wołał w ferworze — niech się pani ubiera! Kolega mój szkolny, Kara-Mustafiński, został prezesem sto dwudziestej dziewiętej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej.

— Więc co?

— Przyrzekł mi solennie, że znajdzie dla pani zajęcie. Idziemy.

Dziewczyna klasnęła w ręce, chwyciła swój turban aksamitny, włożyła go na głowę bez lustra i dopiero na wschodach, przybiła ogromnymi szpilkami do swych bajecznych, złotych włosów.

— Jaki pan poczciwy.

— Spieszmy się, spieszmy — strach co tam kandydatek na to jedno biedne miejsce wyczekuje.

Przez miasto jak szaleni pędzili na skrzydłach nadziei.

W gabinecie jednak pana prezesa, obniżył się nieco djapazon uciechy. Okazało się, że wakuje miejsce inkasenta... do wymuszania wkładów.

— Kobiety?..

— Wogóle wszystko robimy kobietami.
Są tańsze, miłsze w stosunkach i nie palą. 7)

— No, rozmaicie bywa.

— Palących nie przyjmujemy.

— Tak, ale do noszenia pieniędzy po mieście... hm... przyznasz — tłumaczył Henryk — przyznasz... dziś w tych czasach niepokojnych... wobec tak częstych napadów... wobec grożącego na każdym kroku niebezpieczeństwa... kiedy mężczyźni silni i uzbrojeni, tak często padają pod kulami i nożami bandytów...

— O, protegowana twoja — przerwie pan Kara Mustafiński — nie ma się czego obawiać — my, inkasentki nasze asekurujemy.

— Jakto? Możecie zaasekurować przed napadem, możecie zapewnić, że jej nic złego się nie stanie, kiedy będzie przenosiła znaczniejsze sumy po ulicach.

— No, tego nie... ale towarzystwo asekuracyjne zwraca instytucji całą sumę zrabowanych pieniędzy.

— Ach, tak!..

Panna Wicia słysząc te wyjaśnienia, przybladła nieco i nieśmiało zdecydowała.

— To... to już chyba wolę teatr bez asekuracji.

T. Jaroszyński.



WIKTOR GOMULICKI.

Walc nocnych mgieł.

Powróciłem do miasta nie tyle smutny, co zły, i nie tyle wzruszony, co znudzony. Ostatnie moje spojrzenie padło na dzikie, poszarpane, prawie czarne chmury, kłębiące się na wschodzie. Stamtąd też pociągał wiatr. Obiecywało to na dzień następny pogodę, jaką lubię.

— — — — —
Nie kocham życia wogóle; nie kocham zwłaszcza życia żywego. Tylko życie umarłe cieszy się u mnie pewnymi względami. Jestem zwolennik wszelkich *nazajutrz* — bez względu, czy one liczą dobę, czy stulecie.

Zdaje mi się niekiedy, że powinien być zostać historykiem, lub archeologiem.

Dobrze mi tu jest, bom przybył nazajutrz po lecie, i nazajutrz po sezonie kąpielowym. Burza morska i nagłe po niej oziębnienie powietrza wypędziły stąd, odrazu, całą czeredę chorych i zdrowych próżniaków.

Byłem sam, rajsko sam, jak Adam przed narodzeniem Ewy. Jest coś we mnie z żubra-odyńca: chętnie odłączam się od stada i rozkoszuję się samotnią. Wszakże to moje marzenie, od lat chłopięcych w duszy pie-szczone: błądzić po globie ziemskim, nazajutrz po wymarciu całej ludzkości...



Tu ludzkość tłała jeszcze, lecz płomykami słabymi. Stary, od wichrów morskich brunatny rybak, który pozdrowił mię w porcie gardłowem charknięciem, fajki z zębów nie wyjmując; handlarka konch i wodorostów, widna w okienku swego, na głucho już zamkniętego, kramu, plecyma do ulicy obrócona i kawę z wielkiego, porcelanowego garnka pijąca; kelner w watowanym, zamiast fraka obrzędowego, kaftanie, przyglądający mi się z półotwartych drzwi błyszczącej *Grand-Café*, jak węzowi morskiemu, którego któżby pytał: co sobie podać każe? — oto wszystko, com tu ze szczątków ocalałej ludzkości odnalazł.

Śladów życia, przed chwilą jeszcze żywego, było więcej. Oto na jednym z drzew w parku kąpielowym olbrzymi napół odklejony, z wiatrem szamocący się afisz, a na nim jakby nieme okrzyki: *Dziś!... Wielka Zabawa!...* Oto na drutach, w poprzek ulicy, obwisłe, cudacznie poskręcane strzepy różnobarwnych latarń japońskich, niby na szubienicy szczątki zaprzyszlorocznych wisielców. Oto w kilku miejscach ziemia usiana kolorowym śniegiem podartych papierków i „serpentyń”. Oto pod ścianą drewnianego budynku rowerów kilka, związanych sznurkami, opakowanych, do wysyłki koleją gotowych. Oto tam dalej porzucone bez żalu zabawki dziecięce: złamany rydelek, pogięte wiaderko do piasku. Oto wreszcie deszczem i błotem zbrukana, w ziemię nawpół wbita, koperta różowa, a nieopodal i sam list — odrzucony, wzgardzony...

Mijam to wszystko. Do morza, do kochania swego, biegnę.

Wieje *morka*. Wilgoć osiada na twarzy, szczypie w oczy, smak soli w ustach pozostawia. Niebo podobne dachowi weneckich i *piombi*, lecz ruchome, niby przesuwająca się w stronę widza ołowiana opona.

Morza nie ma... Niema ani tej zakurzonej bezkresnej łąki, ani tych rozkołysanych kryształów, ani tych płasających brył malachitu, alabastru, marmuru różowego i *lapis-lazu*li — które po tyle razy oczy moje bawily. Przedemną rozpóściera się beżmierna, wzrokiem nieogarniona masa grzązkiego błota. Nawet Heinowskie zakłęcie nie wywołałoby z tej bezdni ondyn, niksów, czy syren. W poruszającym się leniwie, jakby zgęstniałym i ciężkim, roztopie nawet dla śledzi miejsca niema. Szaro tu, odludnie, ementarnie.

— A może — myślę — nie wodę i niebo mam przed sobą, lecz... duszę swą? Wszakże my zawsze i we wszystkim oglądamy tylko odbicie samych siebie...

Na krawędzi morskiej otchłani przecierpiałem jedno z tych wrażeń dławiących, które kilkakroć w życiu powalić mnie chciały i unicestwić. Zatopiony w szarzyźnie, w pustce, w bezdźwięku, w jałowej ementarności, czułem, że obumieram. Gasły stopniowo oczy i myśli, coś we mnie stygło, drewniało, kamieniało. Wrażeń podobnych doznawać musi morska galaretowata alga, wyrzucona przez fale i wysychająca z wolna na słońcu i wietrze.

Wśród ogólnego, zwiększającego się zdrętwienia jedno już tylko we mnie żyło i znać o sobie dawało. Ta, o której wciąż myślę, do której bez wytechnienia dążę, stawała mi się coraz bliższą, coraz zrozumiałszą. Skrzydła miała od bieguna do bieguna, oczy, jak w lód zakrzepły błękit jeziora, twarz ogromną, kamienną, wyraz ust słodko-zabójczy, ciągnący w otchłanie, z których się nie wraca. Cała była śnieżnym, mętным tumanem, który zakrywał i jakby niweczył słońce, niebo, ziemię, wszechświat.

Obejmowała mnie skrzydłami, tłumiąc oddech, wzrok, słuch, skrę życia gasząc, w nicosć pogrążając. Czułem, że jeszcze chwila, a zespolę się z nią całkowicie, lecz spełni się ten cud już — po tamtej stronie...

W tej chwili zakrzyknęło coś we mnie o—lyk tegiej wódki, o—kawał mięsa i chleba...

Zebrałem resztę sił i pobiegłem w stronę szklanych drzwi, z których wychylał się do mnie kelner w watowanym kaftanie.

(d. c. n.)

GUY DE MAUPASSANT.

MATKA.

NOVELA.

Mrok nocy letniej powoli spływał na ziemię...

Pani pozostały w salonie, mężczyźni rozmawiając i paląc cygara, siedzieli przed willą, naokoło okrągłego stolika, na którym stały filiżanki i kieliszki.

Opowiadano właśnie o strasznym wypadku, który się zdarzył dnia poprzedniego. W rzece,

toczącej swe fale tuż naprzeciwko, utonęło pięć osób. Trzy kobiety i dwóch mężczyzn pochłonięta głębiami, w oczach licznych gości, z których nikt nieszczęściu temu zapobiedz nie zdołał.

— Tak, — rzekł generał G. — to bardzo smutne, ale nie przejmujcie grozą. Taki wypadek wzrusza, przeraża, wstrząsa całym jestestwem człowieka, nie pozbawia go jednakowoż rozumu. Na wywołanie uczucia grozy nie wystarcza wzruszenie duszy, ani nawet widok umarłego, który zginął śmiercią męczeńską; tu w dodatku trzeba dreszczu, spowodowanego czemś tajemniczym, lub jakiegoś nadzwyczajnego, nienaturalnego przerażenia. Człowiek konający, choćby w okolicznościach najstraszniejszych, nie wzbudza grozy; nie czyni tego również pole bitwy, ani widok krwi przelanej; a zbrodnie najpotworniejsze w nader rzadkich wypadkach dokonać tego potrafią.

Z własnego jednak, — niestety! — doświadczenia poznałem, co właściwie „grozą“ się nazywa...

Było to w czasie wojny 1870 r. Opuściwszy Rouen, cofaliśmy się ku Pont-Audemer. Dwaście tysięcy mniej więcej ludzi w rozsypce, wyczerpanych, na duchu upadłych, dążyło do Hawru, by tam uformować regularne wojsko.

Ziemia pokryta była śniegiem. Noc się zbliżała. Od wczoraj nikt nie miał w ustach pożywienia. Uciekaliśmy prędko, prusacy byli tuż za nami.

Pod niebem czarnem, ciężkimi, ołowianymi pokrytym chmurami, rozciągała się równina, na której ciemnymi plamami rysowały się drzewa, otaczające fermy normandzkie.

W bezbarwnym świetle mroku słychać było tylko przeciągły odgłos licznych, lecz nierówno stąpających kroków, wraz z brzękiem karabinów i pałaszów. Żołnierze wycieńczeni, zgarbieni, brudni, częstokroć w łachmanach, wlokli się po śniegu, mimo znużenia wciąż przyspieszając kroku.

Mról był siarczysty. Nieraz patrzę, a tu żołnierz ściąga buty; nogi tak go boją, że woli iść po śniegu... każdy krok znaczony jest krwi purpurowym śladem... Po chwili siada na polu, by trochę odpocząć, lecz się już nie podnosi. Kto spoczął, ten śmierci swej podpisał wyrok.

Pluż zostawiliśmy ich poza sobą, biednych tych, wycieńczonych żołnierzy, którzy sądzili, że w następnej chwili w dalszy wyruszą pochód! Niechby sztywne ich nogi cokolwiek tylko odpoczęły! Załedwie jednak zaprzestali ruchu, gdy znużenie, niemożliwe do przezwyciężenia, natychmiast przykuwało ich do ziemi, zamykało powieki. Prześnany organizm w jednej chwili zostawał tknięty paraliżem.

I pochylali się cokolwiek, czoło o kolana opierając...

I w tej pozycji już pozostawali. Sztywność bowiem i nieruchomość członków, które zgiąć się nie mogły, chroniła ich od upadku.

A my drudzy, silniejsi, kroczyliśmy dalej, po przez ciemność, śnieg i zimno, przygniecen

ciężarem smutku, upokorzenia i rozpacz, w sercu czując tylko pustkę, koniec, śmierć nicość...

Wtem spojrzenie moje padło na dwóch żandarmów, silnie trzymających za ramię małego, starego czelczykę. Człowiek ten żadnego nie miał zarostu, i wygląd jego istotnie mógł budzić podejrzenie.

Żołnierze sądząc, że udało im się ująć szpiega, wzrokiem szukali oficera.

Wyraz „szpieg“ w mgnieniu oka przez wszystkie przebiega szeregi. Otoczono jeńca.

— Zastrzelić go! — ozwał się głos jeden.

I wszyscy ci żołnierze, upadający ze znużenia, którzy tylko za pomocą opierania się na karabinach zdołali utrzymywać się w pozycji stojącej, poczuli w sobie nagle ów dreszcz szalonej, zwierzęcej złości, popychającej tłumy ku zbrodni.

Chciałem przemówić, byłem dowódcą bataljonu; lecz teraz nikt nie uznawał zwierzchników; byłiby mnie również zastrzelili.

— Trzy dni już chodzi naszym śladem, — rzekł jeden z żandarmów. — Wypytuje się o artylerję.

Począłem badać starego.

— Czego chcecie? co tu robicie? w jakim celu włóczycie się za armją?

Odpowiedział słów kilka w narzeczu, zupełnie dla nas niezrozumiałem.

Była to naprawdę dziwna osobistość; o plecach wązkich, o spojrzeniu ponurem i tak przestraszonym, że ani chwili nie wątpił, iż jest szpiegiem. Wyglądał jak człowiek wiekowy i wady. W spojrzeniu jego malowała się pokora, głupota a zarazem i przebiegłość.

Ludzie otaczający nas poczęli wołać:

— Do muru! do muru!

Nie widząc innego punktu wyjścia, rzekłem do żandarmów:

— Odpowiadacie za jeńca!

Jeszcze mówić nie skończyłem, gdy zostałem przewrócony przez napór żołnierzy; widziałem jeszcze jak chwycili jeńca, zawlekli go na brzeg drogi i rzucili o drzewo. Biedak padł na śnieg, nieprzytomny ze strachu i już nawpół martwy prawie.

Po chwili nastąpiła egzekucja. Żołnierze, podobni do zwierząt rozjuszonych, nie zdolni byli hamować swych krwiożerczych instynktów. Strzelali do szpiega, i broń ponownie nabijając, powtarzali swe strzały bez końca. Bili się o swą kolej i defilując przed trupem — strzelali tak kolejno do leżącego ciała, jak się trumnę wodą święconą kropi...

OD REDAKCJI.

Wobec opóźnienia rękopisu powieści, przez autora zamieszkałego w Paryżu, „Wojny narodów“ nie dajemy w niniejszym numerze.

Wtem, nagle, krzyk przeraźliwy:

— Prusacy! prusacy!

I rozległ się odgłos szalonej bieganiny, wszyscy uciekać poczęli.

Hukiem własnych strzałów oszołomieni, nie zastanawiając się nawet nad tem, że to ten huk tylko był powodem ogólnego przestachu, wykonawcy wyroku uciekli wraz z innymi i znikli w ciemnościach nocy.

Jedynie żandarmi, posłuszni poczuciu obowiązku, stali obok mnie, trzymając straż przy zwłokach zastrzelonego szpiega.

Podnieśli go. Była to krwią zbroczona, bezkształtna bryła ciała ludzkiego.

— Trzeba go przeszukać,—rzekłem, podając podwładnym pudełko zapalek woskowych.

Jeden żandarm trzymał trupa, drugi świecił, ja zaś stałem pomiędzy nimi.

— Ubrany w niebieską bluzę, białą koszulę i spodnie. Na nogach trzewiki, — począł objaśniać człowiek, unoszący ciało.

Pierwsza zapalka zgasła; zapalono drugą. Żandarm, przetrząsając kieszenie, mówił w dalszym ciągu:

— Nóż rogowy, chustka do nosa w kratki, tabakierka, sznurek, kromka chleba.

Druga zapalka zgasła. Zapalono trzecią.

Obejrząwszy trupa ze wszystkich stron, żandarm skończył:

— To już wszystko.

— Rozbierzcie go, — rzekłem. — Może ukrył coś pod ubraniem.

I chcąc dopomóc żołnierzom, sam począłem im świecić.

Przy blasku szybko gasnących i równie szybko zapalanych ponownie zapalek, widziałem, jak zdejmowali ubranie z tej krwawej, gorącej jeszcze bryły ciała.

Wtem, wobec trupa zupełnie obnażonego, jeden z żandarmów nagle zawołał:

— Boże miłosierny! Komendancie, toż to kobieta!

Nie mogę państwu opisać uczucia, bolesnego przerażenia, które mię opanowało w tej chwili. Słowom żołnierza nie chcąc dać wiary, ukląknęłam w śniegu, przed tą masą krwawą, bezkształtną...

Była to rzeczywiście kobieta!

Żandarmi, przestraszeni, stali obok mnie, oczekując w milczeniu dalszych rozkazów.

Lecz nie wiedziałem co myśleć, ani co czynić należało...

Wreszcie, jeden z żandarmów powoli mówić począł:

— Może szukała swego syna. Pewnie chłopak służy w artylerji, a ona żadnych nie miała o nim wiadomości.

A drugi na to:

— Tak, zapewne tak było!

A ja, com nie jedną już w życiu widział rzecz okropną, głośno zapłakałem...

— W obliczu tej umarłej, wśród mroźnej nocy, na tej ciemnej równinie, wobec tej tajemnicy, tej kobiety, nieznannej nikomu a niewinnie zamordowanej, odczułem całe znaczenie wyrazu: „Groza“.

Temi słowy generał G... zakończył swe opowiadanie.

Przeł. z francuskiego Malw. Bl.



PRZESZŁAŚ...

*Przeszłaś wiosnią — — echo twe z przestrzeni
Niesie mi jeszcze pieśń niezapomnianą,
Krzyszczącą w sercu boski snop promieni —
Co zórz purpurą budzi mnie co rano...*

*Przeszłaś — — a wstęgą płynie z twojej ścieżki
Wspomnienie święte, gorejące cudnie,
I jak to słońce — co przestrzenie mierzy —
Do serca — złotem — leje się w południe...*

*Przeszłaś — — purpura ściele się na wodzie —
Milkną śpiewaków boszych rozhowory,
A ty — perłową rosą o zachodzie —
Serce me poisz w liljowe wieczory...*

*Przeszłaś anielska — — a gdy noc już cienie
Snuje po ziemi, ty — jak dobra gwiazda —
W serce tęskniące ścielesz swe promienie —
Po mlecznej drodze — do mojego gniazda...*

Walenty Zieliński.



AFORYZMY.

Nie możemy być szczęśliwi dopóki wszyscy dookoła nas cierpią i tworzą sobie cierpienie; nie możemy być moralni dopóki przemoc, kłamstwo, niesprawiedliwość rządzą obrotem wszystkich rzeczy, nie możemy być nawet mądrzy, dopóki cała ludzkość nie będzie walczyła o mądrość i nie wyprowadzi jednostki sposobem najmądrszym do życia i wiedzy.

Fr. Nietzsche.

Ludzkość powinna sama dojść do tego stopnia dojrzałości, ażeby jej własne postanowienia utożsamiły się z boskim planem opatrności.

A. Cieszkowski.



⁷⁾ W chałupach, położonych u stóp zamczyska, światła zabłyśły; szare słupy dymów skłębiły się nad słomianymi strzechami. Cieszą się dzieciaki na myśl wieczery i ciepła, psy nawet do izb ogrzanych się garną i skomlą. Po środku siola stoi dom Boży, struktury Piotra Własta, przy nim plebanja, z której wśród ciszy nocnej rozchodził się śpiew nosowy organisty, próbującego głosu na jutrzejszy dzień święta. Albo stary był albo pijanica zawołany, bo co głos podniósł to koguta uciał.

— Popraw się — słyhać pani organisci-nej uwage.

— Tak mówisz?

— Za wysoko wzięłaś „Święta Maryjo!”

— Za wysoko?.. Niżej teraz będzie...

Posłuchaj!

I znowu koguta uciał.

— Grdyka nie służy — rzekł... Dajno-mi piwska, dobrodziko, albo lepiej... gorzały!..

Nad onemi chałupami, plebanją i kościołem górował zamek, na skałach wsparty, zrosnięty z niemi murami potężnymi swej budowy, o ścianach połamanych, jako że stosował się do kształtów skalisk przyrodzonych, na których szczybatym grzbiecie siadł co mu nadawało wygląd jakiegoś dziwotwora. Nie obieżesz okiem przestrzeni, zajmowanej przez gmach ten; głaz, z kuszy rzucony, nie dosięgnie drugiego krańca dziedzińców, a zabląkaszą się łatwo w kuryta-

rzach ciemnych i galerjach splełanych, nieczem w onym Labiryncie przesławnym, o którym to szeroko Grekowie pisali. Niejednokrotnie mur sztuczny łączył z sobą zręby skaliste, tak, że to tu, to tam, one skały samorodne, wygładzone i uformowane należycie, tworzyły ściany komnat zamku, których już nie rozbiją żadne tarany wojenne, nawet grom niebieski ześlizgnie się po nich — warknie jeno i w głąb przepaści zapadnie.

Nie było w Polsce całej drugiej siedziby takiej, ogromem i obronnością Ogródzieńcowi dorównywającej; nieznanym był też czas jej założenia, ni założyciel sam: wszystko ginęło w pomroce wieków, a choć i dziś jeszcze na czole zamczyska złości się napis na białym marmurze, iż wzniósł je Seweryn Bonar — niesłuszna jest chwamba jego, albowiem daleko, daleko przed nim prastare kroniki o Ogródzieńcu już mówią. Pan Seweryn rozszerzył i wzmocnił tylko zamczysko, ale pierwsze fundamenty gmachu nie on założył, choć przy jego imieniu zasługa została. Obecnie od Bonarów, zamek ogródzieńcki przeszedł we władanie imci pana wojewody Mikołaja Włodka.

Ogrom świata z baszt, wieżyc i blanków zamkowych widać. Panował nad puszcza i nad skałami okólnymi, z których wytryskujące źródlika łączyły się w nurt potężny i Przemszy-Czarnej początek dawały.

Płynęła ona rzeka w zakrętach mister-

nych pomiędzy zielenią traw i skał rozpadliskami, wśród gęstwy krzewów przeróżnych i glazów, wstrzymujących jej bieg, rozpląsana a śpiewająca, niby dziewczyna, gotowa na gody weselne. Ciemno-stalowa barwa nurtów nadawała jej miano „czarnej,” — ale dziś mróz luty całym ciężarem na piers się jej położył, zatrzymał bieg wartki i białym okrył całunem. Nie łatwo się poddała srogiemu naciskowi zimy, o czem świadczą konwulsyjne skręty jej fal, w walce zastygłe i w rozbite kryształy przemienione. „Nie umarłam ci ja, jeno śpię, czuwająca — (zda się mówić) — Obudzi mnie pierwszy dech wiosny, pierwszy, cieplejszy strzał słońca i wnet zerwę okowy, wolna a harda i ku Wiśle królewskiej popłynę“. Teraz śpią lasy i skały i rzeki i źródła, pogrążone w odrodzieńczym śnie zimy.

Spał i ogromny gmach zamku.

W jednej tylko wewnętrznej komnacie, na brukowany dziedziniec wychodzącej, płonął duży stos ognia na kominie, zajmującym niemal połowę izby, a że palenisko szerokie było i dużo wymagało paliwa, berwiona drzew modrzewiowych na kamiennej leżały podłodze, woń żywiczną roznosząc dookoła.

Czerwony blask ognia zalewał komnatę całą, mile ciepło rozchodziło się po izbie. Na policach skrzyły się, ruchomym oświetlone płomieniem, dzbany emaljowane i misy rozmiarów potężnych, złote puławy i roztruchany, amfory i wazy etruskie, przywiezione z krain dalekich. Malowane wzorzysto skrzynie, o zamkach dzwoniących, tuliły się do kamiennych ścian komnaty; parę kobylic, okrytych kropierzami bogatymi, z siódlami klejnotnymi i całym rzędem rycerskim, wyzierało z kątów; gdzieniegdzie miecz błysnął albo tarcza w turkusy i rubiny sadzona. Nie była to jednak zbrojownia, jeno — ot, ozdoba zwykła izby biesiadnej, jako przypomnienie przy uczcie każdej a pijatyce, że o powołaniu rycerskim, nawet w ony czas beztroski, zapominać nie wolno. O właściwym przeznaczeniu tej komnaty mówiły ławy rzeźbione, okrążające stół niepomiernej długości, wzorzystym kilimem nakryty.

W tej chwili trzy tylko osoby w izbie były. Przodek ma imię pan wojewoda Mikołaj Włodek, persona poważna, o włosach już siwiejących i brodzie podstrzyżonej, z obrzękłymi nieco powiekami, o wyrazie twarzy dumnym

i wargach zaciśniętych, jakby przywykłych do gniewu wieczystego. Szatę na sobie miał ciemno-oliwkowej barwy, futrem króliczym podbitą; z czerwonego safjanu buciska na nogach o końcach zakrzywionych; pozłocisty pas, na biodra osunięty, jako, że po sutej wieczery już było a brakło nieco miejsca na kilka kielichów małmazji, jaką raczył, siedzącego naprzeciwko gościa.

Gościem tym był ksiądz pleban z Ogrodzieńca, Wiktoryn Sroka, kmiecego pochodzenia człek, mąż świątobliwości wielkiej, choć też nie mały i małmazji amator. Nie stać mu na taki smakotył u siebie, to też, gdy od duszpasterstwa miał czas wolny, zachodził czasem do wojewody na pogawędkę krótką i pokrzepienie się.

Trzecią osobą był pazik, uroczy chłopię lat siedemnastu, o rozsypanych kędziorach złocistych a oczach czarnych, żarzących, niby węgle dwa. Obcisły, błękitnej barwy strój miał na sobie z krezą szeroką u szyi, na biodrach z nici srebrzystych pas lity. Stał za krzesłem pana Włodka, z postawą nieco pochyloną i lekko ściągniętymi brwiami, co twarzy jego nadawało wyraz posepny, tak nie licujący z wiekiem młodzieńczym. Kiedy niekiedy, jakby pod wrażeniem myśli niemiłej, rozdymały się nozdrza, drobna zaciskała się pięść, na czole głębsza rysowała się bruzda — wtedy i wargi stawały się węższe, jakby przez nie przesuwiał się gniew tłumiony, wydobyty z nieznanego nikomu tajników duszy chłopięcej. Mimo to wszystka niepospolita piękność pazika każdemu rzucała się w oczy. Panny dworskie, nazywały go między sobą Narcyzem; spojrzenia ich zatrzymywały się na długich, ciemnych rzesach młodzieńca, jakiemi osłaniał, żarem palące się źrenice. Nos miał wązki, równy, zaledwie załomem lekkim oddzielający się od czoła; usta, jakby z koralu wyrzeźbane, zapraszające na ucztę pocałunku; w koralu perły, szczere paciory na sznur nanizane. Gdy się uśmiechał, trzepotały serca dziewicze i już noce miały marzeń pełne i snów gorączkowych.

Na kominie ogień płonął i trzaskał. Ksiądz pleban i pan Włodek kiedy niekiedy pochylali się ku ziemi, orali berwiona i ciskali na palenisko. Iskry pryskały, skłębiał się dym czarny, zmagął się huk w przewodach, bursztynowe krople żywicy z syczeniem wydobywały się z kłoców drzewnych i niby duże łzy na żar spadały. Po każdym

ciśnięciu polana następował duży łyk małmazji, jakby za fatywę nagroda. Mógł ci, co prawda, oną pierwszą czynność lada pacholek spełniać, ale już taką fantazję miał pan wojewoda, że rozpalonemu ognisku sam żeru dodawał, pacholek zaś w kordegardzie mógł spać spokojnie i rzucać sennym myśлом pytanie: jako ci to ona małmazja smakuje? a że pazik tu był, to było uczynione gwoli życzeniom księdza plebana, chcącego ujrzyć młodzieniaszka w nowem przebraniu i na innem stanowisku, niż miał dotąd.

— Rad jestem, ojezaszku, żeś mnie nawiedził—mówił Włodek, poraz dziesiąty puharki napelniając — a to mi się cknęło nieco bez mądrej pogawędki o sprawach przeróżnych. Śnieżyska zawaliły drogi wszystkie, że ani w sąsiady wyruszyć, ani kogo bądź gościłą u siebie się spodzisać, a samemu markotno po głuchych wałęsać się komnatach i do milczących ścian gadać. Do babieńca nie dybać mi, ni w małżeńskie al-kowie pod pierzynę się wciskać, a oczu starych nie szybko sen ima, choć mu z pomocą przyjdzie nie jeden kielich małmazji.

To mówiąc, rzucił w komin berwiono.

Uczynił to samo ksiądz pleban, poczem szkło o szkło zadzwoniło i do ust pochyliły się puharki. A ksiądz pleban rzekł:

— Rad i ja jestem, dobrodzieju, żeś przyszedł w czas i — że młodzieńca tego (tu na pazika wskazał)—w zacniejszym stroju widzę, niż dni temu parę, i ochędożnym paziem nie brudnym palipiecią, a rad tem więcej, że, niemowłciem go prawie z rąk cygańskich wyrwawszy, waścinej poruczyłem opiece. Czyje to nasienie jest — Bóg raczy wiedzieć—ale zawždy zdawało mi się, że nie podła dusza w nim siedzi, i żal mi było widzieć go w poniżeniu a ponieważ z prostymi pacholkami w kordegardzie śpiącego. Nauk, jakich mu udzielałem z pozwoleniem miłości waszej, imał się chętnie; na piszczałce niezgorzej grał, a że głos miał słowiczy i kantor niezły byłby z niego: chciałem na organistę go pokierować, bo mój starowina gorzej już niż kur pieje i z klawiaturą często w niezgodzie bywa, z powodu coraz bliższej znajomości z gorzałką zawieranej — ale, gdym go razu pewnego w tej materji zagabał — ten, milcząc, jako to we zwyczaju ma, powolnym ruchem głowy zaprotestował. Mógłbym nalegać, tło-

maczyć, żeć wojewodą przecie nie będzie — lecz taka moc była w owem cichem głowie poruszeniu, żeć języka w gębie zapomniał. Wtedy to do waści z suplikacją pokorną się udał, byś go do posług swoich wziął i z kuchni a kordegardy wydobył. Nie od razu przychylił się do próśb moich... Wiem! wiem! (dodał szybko, widząc poruszenie się Włodka)— że głucha hardość młodzieniaszka tego przeszkodą ku temu była. Aleś wreszcie zadość prósbom moim uczynił — i za to pokorne dzięki miłościwemu panu mojemu składam.

Tu pochylił się do kolan wojewody i uściśnął.

Pazik się nie poruszył — większą tylko brudą zrysowało się jego czoło młodzieńcze.

— Toć prawda—ozwał się wojewoda—że prósbom twoim, ojezaszku, nie rychło posłuch dałem, ale w umurusanym palipiecu żadnych wyższych aspiracji dostrzedz nie mogłem. Spełniał, co mu kazano, z regularnością maszyny nakręconej, bez inwencji własnej, bez myśli najmniejszego udziału; by mu kazano po ścianie się drzeć—próbowałby, jeno z zaciśniętymi ustami zawždy a brwią ściągniętą, bez oporu i sarknięcia. — Drewno bezduszne... i tyła!.. Póđz tu, mały! (tu zwrócił się do pazika, stanąć mu rozkazując między sobą a księdzem) — a pokaż nam się, jaką to fizjonomję masz teraz!

Wezwany uczynił tak, jak pan kazał. Stanął w blasku ogniska, z brwią namarszczoną, z oczyma utkwionemi gdzieś w przestrzeń. Piękny był, aż zakotyła się siwa głowa plebana w zachwycie niemym.

— Jak się on zmienił! jak się on zmienił!... szepnął — — Nie prawda-ż, dobrodzieju? — rzekł, do wojewody się zwracając.

— Kieby głaz! — odparł wojewoda, wzrok na pazika kierując. — Uśmiechnijże się! — rzekł z pewną irytacją w głosie.

Jakimś uśmiechem szyderyczym poruszyły się usta młodzieńca.

Wojewoda się zżymnął —

— Minie to, minie! — szepnął pleban — Pan Włodek mówił dalej, nie spuszczać oczu z twarzy chłopięcej:

— Byłeś potargańcem, teraz nikt ciebie tknąć praw nie ma bez wyraźnego rozkazania mojego... Czy nie tak?

— Tak — panie! — szepnął młodzieniec—



Taktyka pewnego stronnictwa.

Właściwie należałoby może pisać o taktyce pewnej garstki ludzi, którzy uzurpowali sobie prawo do zabierania głosu w imieniu stronnictwa. Właściwie może należałoby nareszcie wskazać publiczności, kto „maćci narodową kadź,” kto wytwarza nieporozumienia, niesnaski, gorycze i przeszkadza do wytworzenia jednolitej opinii o sprawach naszych ogólnych. Ludzie ci w miarę, jak tracili „panowanie,” zatracali też panowanie nad swoimi nerwami i wszystkie ujemne strony w ich działalności przypisywali intrydze lub zazdrości karierowiczów politycznych. To zrodziło hazard, chęć za jakąkolwiek cenę ratowania wpływów i powagi. Nie doprowadziła jednak ta metoda do niczego; przeciwnie, wzbudzała coraz większe niezadowolenie, gotowała rozłam, który wreszcie po odezwie szkolnej zarysował się w całej pełni.

Interesującą jest geneza upadku tego stronnictwa. W lata rewolucji większość naszego narodu skupiała się przeciw pod jego sztandarami. We wszystkich trzech dumach byli i są obecni mandatarjusze tej opinii. Nie wiadomo czy i w czwartej zasiądą posłowie z ramienia tych programowych żądań, jakie przedtem były wystawiane na lep dla naiwnych.

Już pierwsze posiedzenia w 1-ej dumie przyniosły rozczarowanie. Puszczono jednak te rozczarowania w niepamięć, ufano, że stronnictwo narodowej-demokracji, ma istotnie jakiś realny cel w swoim zachowaniu się, w swojej dwuznacznej postawie. Złudzenia pomaleńku ulatniały się. Najbardziej optymistyczni ludzie zaczęli powątpiewać... przypisywali jednak później to „dyplomatyczne” milczenie mandatarjuszy, trudnym warunkom współpracy w Dumie petersburskiej.

Mętnie rysowały się wtedy plany i programy pracy pana Dmowskiego i jego sojuszników. Zdecydowano ratować się neoslawizmem, lecz i ten krok przyniósł fiasko. Urzędowa narodowa-demokracja stała się stronnictwem bez haseł. Dema-

gogja wszczęta już od lat rewolucji, przerodziła się teraz w nerwowe, histeryczne obrzucanie ludzi i stronnictw innych epitetami o brudnej treści. I charakterystyczne, że rozkład stronnictwa następuje nie tylko w Królestwie. Równocześnie w Galicji rozpoczyna się dezorganizacja karność endeckiej. I dla-



ROMAN DMOWSKI.

tego znawca stosunków partyjnych p. Wł. Studnicki o nich powiada, że „bankrut niemal każdy popełnia przed swym ostatecznym krachem szereg bezsensownych, dla jego interesu



S. KEMPNER.

wręcz szkodliwych aktów, i gorączkowo szukając ratunku, przyspiesza swój upadek.”

Charakterystyka ta jest bardzo znamienita dla narodowej-demokracji. Każdy z zewnątrz stojący człowiek widział nielogiczność programową neoslawizmów w stosunku do dawnych autonomicznych postulatów, w stosunku do idei polskości, której stronnictwo zawdzięczało

swoją rozrost. Nie widzieli tego tylko urzędowi menterzy, głośno nawoływali do solidarności słowiańskiej, przez co rozumie się przekreślili dawny swój program, dawne hasła. Kto jednak był na tyle śmiały, że otwarcie wypowiadał swoje niezadowolenie z powodu tego „nowego kursu” politycznego, spotykano go natychmiast jeżeli nie oszczerstwami, to w każdym razie szykanami.

Stronnictwo narodowo-demokratyczne w ten sposób zatrzymując swoją nazwę, zupełnie zmieniło swoją wewnętrzną ideową treść. Właściwie nie zmieniło tej „treści” tylko ją zupełnie poniechało. Stało się partją bez programu i dziś rozpoczynają „przewodcy” tego „stronnictwa” szukać haseł, za pomocą których możnaby wprowadzić karne szeregi do urny wyborczej.

Zaczął więc „Głos Warszawski” od tego, że chciał wykazać całą nicość ideową tych, którzy do dawnych powrócili haseł i otrząsnęli się z dyplomatycznych łamańców. „Goniec” obrzucać poczęto pogardliwymi, zjadliwymi frazesami, ani razu jednak nie odpowiadając na rzeczową krytykę. Sprawy zaszły aż tak daleko, że p. Dmowski swoich przeciwników nazwał ludźmi „o słabych głowach,” „szalbierzami,” „defraudantami” i t. d.

Odpowiedział „Goniec” na to, spokojną, rozważną repliką, lecz i ta odpowiedź nie doprowadziła do żadnego rezultatu. Pan Dmowski, a właściwie „Głos Warszawski” wyznał, że najmądrzejszą polityką, jest polityka realna. Zarzucił tylko całemu społeczeństwu, że jest do tyła naiwne, iż nie wie co właściwie znaczy pojęcie „realny.” Jął więc tłumaczyć p. Dmowski filozofję owego realizmu. I dobrze się stało. Ostatnie pierzchy złudzenia. Dziś wiemy, że miejsce p. Dmowskiego tylko w szeregach stańczykierji.

W dyskusji zdarzył się małeńki, charakterystyczny dla dmowszczyzny epizod. „Nowa Gazeta” przedrukowywała obiektywnie zdania walczących przeciwników. Otóż, gdy zjawiła się replika w „Gońcu” (z dnia 21 stycznia) i p. S. Kempner prze-

drukował jej rzeczowe argumenty,—pan Dmowski zareagował na to... wyzwaniem. Każdy logicznie myślący człowiek, spodziewał się odpowiedzi pod adresem „Gońca,” a otrzymał... pojedynkę pod adresem „Nowej Gazety.”

Argumenty, dowody, powody posiadał „Goniec.” Niewygodnie zapewne było p. Dmowskiemu mierzyć się z „Gońcem”, więc wybrał sobie pana Kempnera. Chciał chyba w ten sposób uratować powagę swoich enuncjacji i epitetów, którymi tak obficie raczył polityków z „Gońca.” (Patrz telegr. „Ziemi lubel.” z 25/I r. b.).

Wypadek ten nie jest jedynym „taktycznym” błędem pana Dmowskiego. Podobno stronnictwo, za jego rządów, wiele popełniło takich „taktycznych” pomyłek, co p. Dmowski uzasadniał zawsze racją stanu. Żyje nam w pamięci sprawa Rapperswilska, którą przecież zatuzowano dla „racji stanu.” Że rzuca się piętno na charakter tak krystaliczne, jak Żeromski, Kopera, Sokolnicki, to nie nie obchodzi „stronnictwo”. Byle tylko „karność” panowała w szeregach, byle tylko próżność i ambicja świeciła swoje saturnalje. A proszę przypomnieć sprawę macierzy szkolnej i stanowisko endecji wobec mecenasa Osuchowskiego! Czyż i to było czynione w imię racji stanu?!

Gdy rzucimy okiem wstecz, znajdziemy faktów takich sporą, pokązną liczbę. Nie idea przyświecała czynom dmowszczyzny, lecz... próżność. Umiał tę próżność hamować ś. p. Popławski. Za jego życia powodziło się też endecji doskonale i powodzenie to było może uzasadnione; gdy jednak Popławskiego nie stało, rzeczy uległy kompletnej zmianie i zobaczyliśmy na jakim „pasku,” poczęto prowadzić całe społeczeństwo. Zrozumieliśmy i zobaczyliśmy, że tęsknoty nasze i nasze pragnienia są obce tym „realnym” politykom. Kto uważa, że jedyną taktyką polityczną jest załatwianie osobistych porachunków, oraz krzewienie „realistycznych” przekonań, ten o życiu naszym nie mówić nie powinien.

Od dziś społeczeństwo nasze, głosy pochodzące z tej strony,



Scena z „Elektry”. Elektra namawia siostrę swą, Chrisothemis, do zabójstwa matki.

musi uważać za uzurpację. W imieniu bowiem narodu może przemawiać tylko ten, kto zespolił się myślą, sumieniem i pracą z całowiekową naszą kalwarją, kto sprawę narodu przeniósł nad sprawę własną, kto widzi ciągle jedyny przed sobą cel — szczęście, dobrobyt i kulturę Polski.

TEATR.

Występy pani Wysockiej przynoszą coraz więcej... niespodzianek, coraz więcej szczerego uznania ze strony publiczności, choć prasa naogół niezbyt gorąco przyjęła jej pierwsze krea-

cje. Pewien wpływowy krytyk wolałby widzieć we wszystkich rolach, które gra p. Wysocka, panią Siemaszkową; inni lękali się potwierdzić entuzjazm, jaki panuje na sali, gdy zapadnie kurtyna. No, bo i trzeba przyznać, że dawno nie widzieliśmy na deskach naszego dramatu takich żywiłowych, majestatycznych linii, takiego krwawego, ludzkiego dostojenstwa. Wspominamy mimowolnie Modrzejewską — i tylko z nią można porównać sztukę pani Wysockiej.

Dzięki gościnie tej artystki, Warszawa poznała dzieło wiedeńskiego poety Hugona von Hoffmansthala „Elektrę.” Tragedja ta natchnęła Ryszarda

Straussa do napisania opery, która w Niemczech święci wielkie tryumfy. O Hoffmansthalu pierwszy pisałem, pierwszy zaznajomiłem nasz ogół z całokształtem jego artystycznej działalności. (Bluszcz 1912) Powracać więc do myśli, które wypowiedziałem o nim na innym miejscu, nie chcę, ani uważam za potrzebne. Zaznaczę tylko, że dramat „Elektra“, dzięki tylko genialnej interpretacji Wysockiej, wywiera potężne wrażenie.

Widziałem też sztukę w teatrach niemieckich i budziła we mnie odruchy niesmaku. Hałaśliwe bowiem, głośne, koturnowe słowa, nie zastępują żywego dramatu duszy, który musi być obecny, jeżeli ma przemawiać do serc słuchaczy. I dla tego też w Niemczech słyszałem tylko furję spiętrzonych słów, oprawnych w misterną formę niemieckiego parnasisty, słyszałem groźne, krwawe, słowa, lecz były to tylko... słowa.

Pani Wysocka umiała w te słowa wlać technię życia, czego nie udało się artystce niemieckiej. Umiała z każdego gromkiego epitetu zrobić jęk bolejącego serca, umiała puste mściwe frazesy napełnić poezją rozpacznej mściwości. I w tym właśnie jest wielkość jej artysty. Czemu dotknę jej twórcza ręka, przemienia się to natychmiast w wizję, w rzeźbę o kształtach klasycznego piękna. Pani Wysocka jest bezwątpienia jedną z największych naszych artystek.

Prasa codzienna dziwi się, czemu dyrekcja teatrów nie zaangażuje na stałe pani Wysockiej. Z naszej strony musimy dodać, że byłaby ona nieocenionym nabytkiem dla warszawskiej sceny.

Warszawa powinna mieć najlepsze siły artystyczne. Odpowiedzialność za brak tych sił spada na kierownictwo. Niech więc pamiętają o tem ci, co mają władzę nad losami naszego teatru!

Pan Zalewski robi kasę „Napoleonem i Józefiną“ Hermana Bahra. Bahr należy do najkulturalniejszych pisarzy niemieckich i jako krytyk jest niezmiernie ceniony w swojej ojczyźnie. Czteroaktowa zaś ko-

medja, którą poznaliśmy w teatrze p. Zalewskiego, nie należy do utworów... literackich. Jest to zwykła teatralna bomba, obliczona na gusty niemieckiej publiczności, nieubijającej Napoleona. Pan Bahr pokazał więc „śmiesznego“ małego Napoleona; gardzi on sławą, pieniędzmi — dla miłości, a później bierze lekcje dobrego tonu od Talmy. Historjograf niemieckiego literata wykrywa, że wszystko, cokolwiek Napoleon zrobił, zawdzięcza nie sobie, lecz kaprysom pani Józefiny de Beauharnais.

Józefinę grała p. Bończa, Napoleona p. Jarasz. Ucharakteryzowany był doskonale, poruszał się z napoleońską brawurą. Gra p. Jarasza złagodziła niemiecki koncept w stosunku do Napoleona, co należy zapisać na dodatniość interpretacji. Pani Bończa natomiast robiła również wszystko, by pokazać Józefinę jaknajmniej interesującą. Jedna uwaga pod adresem kierownictwa. Czy teatr Mały nie posiada innych sił, że aż ucieka się do obsadzania pierwszorzędnych ról artystkami, które nie umieją mówić po polsku? Pani Bończa jest piękną, lecz niech poprzestanie na laurach, jakie zawdzięcza swojej urodzie.

E. C

Śmierć nuncjusza papieskiego w Wiedniu.

W Wiedniu zmarł w tych dniach nuncjusz papieski, kardynał Aleksandro Bavona. Uro-



Kardynał Aleksandro Bavona
zmarły nuncjusz papieski w Wiedniu.

dzony w 1856 we Włoszech, w 1879 r. otrzymuje święcenia kapłańskie. W 1901 r. wyjeżdża do Equadoru jako delegat papieski, w 1902—do Boliwji i Peru a w 1906 zostaje nuncjuszem w Brazylii. W roku ubiegłym wraca do Europy, żeby objąć nuncjaturę w Wiedniu.

W zmarłym kardynale traci kościół — wybitnego polityka, jednostkę nie przeciętną, człowieka wielkich zalet charakteru.

Leopold Meyet.

Spółczesność nasze poniosło niepowetowaną stratę przez śmierć zasłużonego literata, mi-



LEOPOLD MEYET.

łośnika i zbieracza rzadkich dokumentów, nieodżałowanej pamięci Leopolda Meyeta.

Meyet urodził się w 1850 r. Po ukończeniu nauk w gimnazjum, wstąpił na wydział prawny b. Szkoły Głównej.

Następnie odbywał studia w Lipsku, a powróciwszy do kraju oddał się literaturze, rozpoczynając swe kroki w *Przeglądzie tygodniowym* i *Niwie*.

Dalej następuje szereg rozpraw, ogłaszanych drukiem w czasopiśmie, rozpraw o wartości wielkiej dla literatury.

Pozatem nieraz ogłaszał Meyet drukiem, odszukane z pod pleśni zapomnienia, dokumenty, listy i inne rękopisy o bezcennej dla nas wartości.

Pamiętki po Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, były celem najgorliwszych poszukiwań zmarłego, a w szczególności—po Słowackim; również ogłosił drukiem szereg nieznanych utworów Elizy Orzeszkowej i prag-

nał uczcić pamięć znakomitej autorki trwalszem jakimś dziełem społeczeństwa, nad urzeczywistnieniem którego ostatnio najwięcej pracował.

Majątek swój, wynoszący 300000 rb. zapisał na cele publiczne.

Powinniśmy w sposób godny uczcić pamięć męża tej miary i tych zalet.

Jesteśmy też pewni, że zawiąże się komisja, mająca na celu to zadanie.

Z MUZYKI.

Na wielkim koncercie symfonicznym w Filharmonji wystąpił wybitny skrzypek p. Karol Flesch. Technika, nieraz wprost zdumiewająca i głęboki ton, najbardziej pociągaly w grze wirtuoza. Świetnie odegrane „Ave Maria“ Schuberta, „Hawanaisa“ Saint-Saënsa, sonata Bacha i inne, świadczą o wysokiej kulturze artystycznej p. Flescha.

Choć występu nie można nazwać wielkim sukcesem, stwierdza on jednak niezbitą energię i zabiegliwość warsz. orkiestry symfonicznej, i jej żywotność w bieżącym sezonie koncertowym.



Karol Flesch
wybitny skrzypek-wirtuoz.

Trudno, warunki nasze nie pozwalają na angażowanie sił, które... dziesiątki tysięcy rubli z jednego występu wywoziłyby za granicę.

Opera nasza również znajduje się w tem położeniu, ale gdzie niema subsydjów, tam trudno urzeczywistnić aspiracje artystyczne choćby najgłówniejszego nawet zarządu czy dyrekcji.

Zresztą do tej kwestji niebawem jeszcze powrócimy.



POŻAR „EQUITABLU”. Olbrzymie sikawki parowe wyglądały jak fantastyczne lodowce, obmarzały również płaszcze strażaków.

Pożar gmachu Towarzystwa „Equitable“.

Olbrzymi gmach T-wa ubezpieczeń „Equitable“ w Nowym Jorku, jak to już wiemy z dzienników, spłonął doszczętnie. Straty obliczają na miliony dolarów. Ratunek był niezmiernie utrudniony, wobec trzaskającego mrozu, który wtedy panował. Nietylko zwykłe sikawki lecz i olbrzymie parowe — obmarzały kompletnie, przypominając jakby fantastyczne lodowce. Płaszcze strażaków również lśniły kryształami lodu. Po ugaszeniu pożaru, gruzy pokryła gruba powłoka lodowa, uformowana ze strumieni wody, wyrzucanej z kilkudziesięciu sikawek.

Przegląd polityczny.

Trzecia Duma obradować będzie do końca maja. Wybory do czwartej odbędą się zapewne we wrześniu. Już szykują się do urny różne grupy opinii społecznej w Rosji, u nas zaś głuch jeszcze dotychczas o tych wyborach. Chodzą legiendy, że niektóre stronnictwa mają zamiar bojkotować... wyjazd do Petersburga, gdyż obecność nasza jakoby jest tam zbyt liczna. Program natomiast realnej pracy wśród swoich ma być szerzej zastosowany, praca na ojczyzynie zagone powinna dziś służyć za

przedmiot naszych politycznych... dążeń. Nie będziemy zbijali tych twierdzeń, gdyż czas zapewne sam przeważy szale opinii w pożądanym kierunku.

Wybory w Niemczech już ukończono. Przeszło 110 socjalistów, co jeszcze nigdy w państwie „bojaźni bożej“ i kirasjerskiego buta nie zdarzyło się dotychczas. Okazuje się, że nawet w Niemczech zaczyna się szerzyć niezadowolenie, a przeciw karności i posłuszeństwu względem państwa jest u nich na pierwszym miejscu w życiu gromadzkim. Cesarz Wilhelm jest mocno dotknięty socjalistycznym zwycięstwem. Podobno znosi swoją rezydencję w Poczdamie, gdyż nawet ludność tego miasteczka była niewdzięczna. Wybrano tu sławnego Liebknechta, adwokata berlińskiego, który ciągle miewa procesy o obrazę majestatu.

Wybory w Poznańskim i na Szląsku przyniosły rozgoryczenie nam polakom. Ubyło w kole polskim, obecnie, dwóch naszych mandatarjuszów. Wina leży całkowicie po stronie polskiego społeczeństwa, które woli popierać centrowych kandydatów, niż oddać głosy na polaka o przekonaniach „zbyt“ demokratycznych. Pozatem wina jest jeszcze w tych waśniach, kłótniach, które wciąż trwają między piśmami zaboru pruskiego, co przeszkadza do wytworzenia się solidarnej opinii. Dziś niby pi-

„UNDERWOOD”

z widocznym piśmem



Wielkose amerykańskie
maszyny do pisania
ORIGINALNE

poleca **G. GERLACH**
Warszawa, Czysta № 4.

sma te podpisały wspólną odezwę, lecz to już zapóźno. Zwykła zresztą u nas kolej rzeczy: mądry polak po szkodzie!

W tygodniu ubiegłym wiele dyskutowano z powodu przyaresztowania statku francuskiego Manonba; zajście to jednak, dzięki energicznej postawie Poincarégo, załatwiono pomyślnie.

Nowy spis ludności we Francji przyniósł statystykom i politykom poważny materiał do dyskusji nad kwestją wyludniania się. Nikt już nie będzie kwestjonował teraz zaniku ludności w krainie wolnej, demokratycznej Rzeczypospolitej, jak również nie będzie łudził się niespożytością łacińsko-francuskiej rasy. Stanowczo źle się dzieje! I dlatego znany statystyk Bertillon alarmuje opinię francuską, woła o „naprawę” Rzeczypospolitej.

Goście angielscy, którzy składają wizyty w Petersburgu, w ojczyźnie swojej byli zegnani z ogromnem niezadowoleniem. Zwolowano nawet wiece, w celu protestowania. Nie wchodzimy w racjonalność faktu, zaznaczamy tylko wypadek, gdyż jest bardzo charakterystyczny dla stosunków angielskich.

Rossvelt ciągle marzy o nowych podbojach dla Stanów Zjednoczonych. Marzenia jego znajdują oddźwięk w sercach yankeśców, a więc istnieje prawdopodobieństwo, że następcą Tafta będzie przyjaciel Wilhelma, honorowy doktor filozofji uniwersytetu berlińskiego.

Stan zdrowia ministra spraw zagranicznych bar. Aehrenthala pogorszył się, czyli że spodziewana dymisja już wejdzie ze sfery projektów w życie. Myślę, że publicyści, jak Mieński, powinni być zadowoleni, gdyż przypisywali wszystkie niepowodzenia polityki rosyjskiej w stosunku do Austrii — temu ministrowi.

Ciekawy jest list-protest rosjan w sprawie chełmskiej, wydrukowany przez posła Kramarza w gaz. „Narodnyja Listy”. A więc protestują już nawet rosjanie! Poczekajmy, a może i projektodawcy zorientują się, że popełnili błąd polityczny.

Zniknięcie o. Rejmana.

Termin sprawy Macocha zbliża się. Wiadomo, że b. przeor Rejman miał być świadkiem w tej sprawie. Po znanym wypad-



O. EUZEBJUSZ REJMAN.
(Z powodu tajemniczego zniknięcia).

ku w Częstochowie, ksiądz Rejman wyjechał pod Drezno na kurację, gdyż zajścia na Jasnej Górze oddziaływały źle na jego zdrowie. Już wtedy dziwiono się, czemu ksiądz Rejman opuszcza kraj, no, ale stan zdrowia tłumaczył wyjazd w zupełności.

Obecnie zaś „Goniec Częst.” pierwszy podał wiadomość, że przeor Rejman zginął bez śladu. Ostatnio przebywał w klasztorze Braci Miłosierdzia pod Wiedniem. Gdy zapytano, zakon odpowiedział, że nie wie, gdzie wyjechał b. przeor Rejman. Istnieje przypuszczenie, iż udał się do Ameryki, by nie stawać we wspomnianym procesie jako świadek.

Ile w tem jest prawdy, a ile legendy lub ludzkiej złośliwości — wkrótce zapewne się dowiemy.



Fanatyzm religijny.

Kościół marjawicki w Łodzi przy ul. Franciszkańskiej, był widownią niezwykłego zajścia, wywołanego przez sfanatyzowane tłum kobiet.



Sprzedż obrazów marjawickich w Strykowie.



BISKUPI MARJAWICZY: po lewej stronie Próchniewski, w środku Kowalski, po prawej — Gołębiowski.
(Z powodu napadu na bisk. Kowalskiego w celu ukrzyżowania).

Przyczyną zajścia było urobione od pewnego czasu mniemanie wśród pewnej grupy wyznawców marjaw., że biskupi: Kowalski, Gołębiowski i Próchniewski, są... upostaciowaniem św. Trójcy. To też gdy biskup Kowalski znajdował się w kościele, kilkadziesiąt bab rzuciło się nań z okrzykiem „jesteś Chrystusem, więc umrzyj na krzyżu!“ Ledwie udało się napadniętego wyrwać z rąk napastniczek i przeszkodzić zbrodniczemu zamiarom ciemnej tłuszczy.

Epilog sprawy rozegrał się

w cyrkułe. Nadmienić należy, że już poprzednio nieraz czatowano na Kowalskiego w celu dokonania „krwawej ofiary.“

Fakt ten nastreża wiele refleksji, fakt to smutny.

Ciemnota, nie tylko że nie małe, lecz przybiera w ostatnich czasach zastraszające rozmiary.

Umysł ciemny, nie mogąc wnikać w głębię symbolów, przy jednoczesnym podrażnieniu wrażliwości, wobec tajemnicy zagadnień zaczyna fantazjować, fantazjować chorobliwie; gorączkowe podniecenie wyobraźni stwarza wtedy fanatyzm

z wszystkimi dalszymi jego skutkami.

W kwestjach religji, powtarzam, ciemny tłum jest najbardziej pochopnym do fanatycznych obłądnych rojeń. Świat duchów, życie pozagrobowe, dusza, wszystko to, przy wnikięciu w głębię istoty tych zagadnień, w nawiązaniu z kulturalną organizacją, może uszlachetnić uczucie, pogłębić artyzm i błogosławić życie, promieniami cieplejszymi ścieląc się na ofiarę do ołtarzy ludzkich sere, by zmartwychwstać w twórczej potężnej sile naszych tęsknot, dążeń i celów.

Ciemnocie to jest obec, niemożność bowiem pogłębienia, skazuje ją na ciągle majaczenie po powierzchni, wciąż żądając widomego jakiegos przejawu duchowych podniet i przejawy te sprowadzając w chorobliwej wyobraźni do kształtów... karykatury.

Och, to nie karykatura to najstraszniejsza tragedia, pozornie tylko karykaturalnością nas śmiejącą!

Obłąd i fanatyzm prostaczków, wybujały na gruncie ciemnoty, niezależnie od tego jakiej wiary są oni wyznawcami, należy zwalczać wiedzą, nauką, żywym serdecznym, rozumnym słowem, unikając podniecania nie objętej kulturą wyobraźni, za pomocą efektów nie mających nie wspólnego z Pięknością i przez to nie nawiązanych harmonijnie z istotą ludzkiej duszy.



Z dziedziny wynalazków.

Już od kilku lat trwają próby zdjęć fototelegraficznych, czyli przenoszenia, za pomocą telegrafu, danego obrazu o setki, ba — nawet tysiące mil.

Początkowo, podobne zdjęcia były nader uciążliwe i mozolne. Należało obraz rozłożyć niemal na nieskończenie wielką ilość oddzielnych punktów, które następnie telegrafowało się po kolei. Obraz w ten sposób na następnej stacji otrzymany — był niewyraźny i mglisty.



Obraz zdjęty za pomocą fototelegrafii z odległości kilku tysięcy kilometrów.



J. Głabiński i A. Lewicki, wynalazcy nowego sposobu produkcji ciepła.

Obecnie, profesor Korn wprowadził zasadnicze ulepszenia w dotychczasowym systemie, które w stosunkowo krótkim czasie pozwalają skutecznie czynności fototelegraficzne — obraz zaś otrzymany, jak to widzimy na załączonej rycinie, jest wyraźny i chyba mało już pozostawia do życzenia.

* * *

Walka o byt, gorączkowy pospiech, ta ciągła, ustawiczna energia w dążeniu do ulepszeń wynalazków, spostrzegać się daje szczególnie w czasach ostatnich. Dziś przypadnie nam słów parę poświęcić wynalazcom polskim, J. Głabińskiemu i A. Lewickiemu.

Wynaleźli niedawno (jak załączona podobizna przedstawia) maszynkę, która w przyszłości wywołać może przewrót w produkcji ciepła.

Wynalazcy wspomnieni nadali przyrządowi swojemu nazwę „Vap-ol”.

Jestto aparat służący do opalania, składający się z dwóch części — ze zbiornika i palnika, połączonego ze zbiornikiem gumowym węzłem. Ogrzewanie pieców, kotłów i t. p. jest tak szybkie aparatem wynalezionym przez pp. Głabińskiego i Lewickiego, że podczas generalnej próby, aparat powyższy, przedstawiciele władz i znawców techniki, wprawiał w zdumienie. Koleje austriackie czynią pertraktacje, jakoteż i ministerjum wojny, o zakupno tego wynalazku.

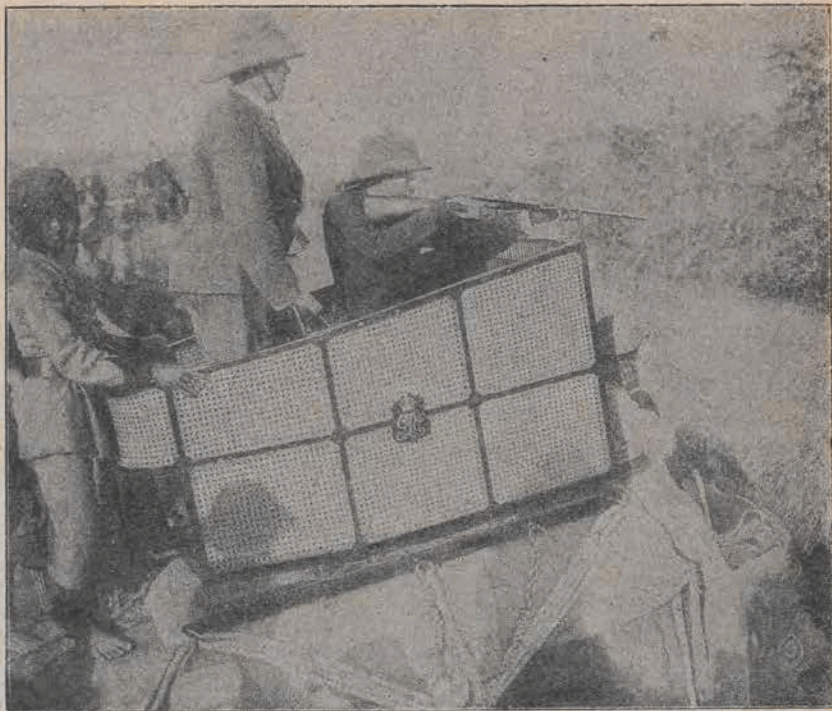
Od redakcji. Sprawozdanie ze specjalnych wystaw B. Bujki, T. Ciesławskiego, K. Lasockiego, T. Rygiery i konkursowej historycznej imienia me. Papińskiego, otwartych w dniu 1 b. m., w Tow. Zach. Szt. Pięk., umieścimy w następnym numerze.

Lina Cavalieri — rozwódką.

Jedna z najpiękniejszych kobiet całego nowego i starego świata, śpiewaczka Lina Cavalieri... rozwodzi się. Kilka lat temu gościła w Warszawie, zbierając laury dzięki swej urodzie, gdyż o głosie jej chodziły dwuznaczne wieści. Od niedawna Lina Cavalieri stale śpiewała w Paryżu i tu sukcesy śpiewaczki wyswatały ją z milionerem amerykańskim Chanley'em. Sielanka milionera z cudną Cavalieri nie trwała jednak długo. Najpiękniejsza kobieta, okazało się, jest charakterem bardzo nieutemperowanym i „brzydkim“. W 1910 roku, gdy Chanley oświadczył się o rękę pięknej Liny, był tak rozkochany, że przyjął jakieś dziwne warunki pożycia z „divą“. Zobowiązał się w dniu ślubu wypłacić jej milion dolarów i co rok w tę radosną rocznicę składać tyleż u jej drobnych nóżek. Podobno, że tego warunku milioner nie chciał do-



Lina Cavalieri
piękna rozwódka i... awanturница.



Król Jerzy poluje w Indiach na tygrysy.

trzymać zaraz w pierwszą rocznicę, co dało początek scenom, które później obiegaly Paryż, jako niezwykle ekstrawaganę śpiewaczki. Ręce nadobnej małżonki w tych scenach silnie pracowały. Ktoś dowcipny radził je zaasekurować. Dziś... bez asekuracji p. Lina zdecydowała się rozwieść.

Biedna piękność! Pożalowania jednak godny małżonku, tobie przedewszystkiem współczujemy!

Król Jerzy poluje na tygrysy.

Król Jerzy angielski pragnął się zmierzyć z królewskim tygrysem, zamieszkującym dziewiczę puszcze Indji. W tym celu zorganizowano całą wyprawę. Kilkanaście stoni stanęło do pracy, dźwigając na grzbietach coś w rodzaju pomostu, na któ-

rym myśliwi, niby w bryczce, miejsca pozajmowali. Największemu z olbrzymów przypadł w udziale honor dźwigania miłościwego ciężaru króla Anglii i cesarza Indji w jednej osobie. I oto widzimy jak dostojny jeździec mierzy do tygrysa przedzierającego się gdzieś w gęstwinie... za chwilę padnie strzał i—padnie drapieznik, a władcy pozostaną długo w pamięci przebyte emocje i wrażenia.

Odpowiedzi Redakcji.

P. L. C. w Saradowie. Owo „huczenie samopółów“ była to rzeczywiście niedozwolona w tych razach *licentia poetica*, na którą autor sobie pozwolił. W dacie wkradła się złośliwa omyłka drukarska, malarz zaś robił winjetę w ostatniej chwili, czytając treść nie z rękopisu, lecz z próbnej odbitki w druku.

P. Kr. w Radomiu. Z proponowanych przedruków aforyzmów nie skorzystamy.



Inż. Rychłowski Wehr i S-ka

Biurowo Hydro-Techniczne

Firma egzystuje od roku 1894 wykonała 1056

STUDIUM ARTEZYJSKICH

i najgłębszy otwór świdrowy

3838 stóp.

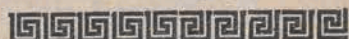
Warszawa, Krucza 24

telefon 10-24.



Dr. L. Płużański

Lek. szpital. św. Łazarza. Chor. skór. i wener. (stos. 606). Nowy-Świat 37, tel. 95-65. Od 1—3 i od 6—8 po poł.



Humor i Satyra *).

ZAMIĄST RECENZJI.

DZIWNE ZJAWISKO.

Dziwnie mi się wydarzyło,
Gdym dziś wracał z pohulanki:
Jakoś wszystko się... dwoiło,
Drzewa, ludzie, domy, sanki.
Dwa księżycy tam u góry,
Dwójlatarnia mrok rozprasza...
Lecz dziwactwo to natury
Nie a nie mnie nie przestrasza.
I dopiero przerażony
Utraciłem w domu mowę,
Gdym zobaczył—dwie złe... żony,
A za nimi—dwie teściowe,



* * *

Dziwne, dziwne, jak kobieta
Jest podobna do księżycy!
On i ona wpośród nocy
Drogę życia nam oświeca.
On przyciąga wód przyplawy,
Ona ńci nawet wrogi —
On i ona lubią czasem
Przypiąć..... rogi.

* * *

Nie wszystko to jest złotem,
Co się ładnie świeci;
Nie wszystko jest zasługą
Choć je wawrzyn kwieci.
Nie wszystko bywa cnotą
Choć ma pozór cnoty —
I nie wszystko prawdziwe
Co kryją... trykoty!..

**DROGOCEPNA LIRYKA.**

Raz zapytał bankier Ziutki,
Czy czytała liścik krótki,
W którym, w werwie erotycznej,
Przysłał wierszyk jej—liryczny?
Na to Ziutka:—„Głupie żarty!
W piec wrzuciłam list podarty!
Błazen! do mnie śle wierszyki!
Schowaj sobie swe—liryki!“
— Szkoła!—zaśmiał się bankierek
Żeś zniszczyła ten papierek,
Bo na jego był odwrocie
Czek na pięćset rubli w złocie.

Ziutka z żalu aż zawyła...
„Pocom ja to uczyniła?“

Z tego morał! „Bierze wnyki,
Kto zbyt stroni od—liryki...“

**CACĄ ODRODZENIA.**

Niedawno zjazd był kobiecy,
Sala się trzęsła od mówek:
— „Mężczyzna lotr i półgłówek,
„Grzmoć w mury jego fortecy!
„Zdobytaj prawa życiowe!
„Łam więzy upośledzenia!
„I w drodze do odrodzenia
„Stwarzaj wciąż kobiety *nowe!*“
Tak krzyczy sejmik niewieści
I *stare* przesady beszta...
Dwie były znośne, a reszta
Brzydkie—jak siedem boleści.
Nie dziw, że sejmik się stara,
Dolę kobiety uzdrowić!..
Bo każda szpetna i *stara*
Pragnęłaby się—*odnowić.*

*) Artur Gliszyński. Humor i Satyra H. K. T. z portretem autora. Warszawa, nakład rodziny. Str. 87.

OD REDAKCJI.

Za tysiące listów z życzeniami rozwoju „Złotego Rogu“, najserdeczniej dziękujemy.

OD ADMINISTRACJI.**WARUNKI PRENUMERATY:**

W Warszawie z odnośnieniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.—			
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60 „ „ 2.30 „ „ 1.15			
Za granicą i za oceanem „ „ „ „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25			
W Austrii i Galicji „ „ „ „ 12 kor. 50 h. „ „ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h.			
Numer pojedynczy kop. 10 — halerzy 25.			Zmiana adresu — 20 kop.

Przybywający prenumeratorowie otrzymają komplety.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

TREŚĆ. Eliza Orzeszkowa, **Z dróg i losów myśli polskiej.** — T. Jaroszyński, **Asekuracja.** — Wiktor Gomułicki, **Walc nocnych mgieł.** — Guy de Maupassant, **Matka.** — Walenty Zieliński, **Przeszła...** — Aforyzmy. — Kazimierz Gliński, **Stare Lwy.** — **Taktyka pewnego stronnictwa.** — **Teatr.** — **Śmierć nuncjusza papieskiego w Wiedniu.** — **Leopold Meyet.** — **Z muzyki.** — **Przegląd polityczny.** — **Zniknięcie o. Rejmana.** — **Fanatyzm religijny.** — **Z dziedziny wynalazków.** — **Lina Cavalieri** — **rozwódką.** — **Król Jerzy poluje na tygrysy.** — **Humor i Satyra.**

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz **Eustachy Czekański.**